

Marzyciele realiści

W poznańskiej fabryce rowerów

Nad wejściem do świetlicy fabrycznej widnieje hasło: „Jaki piękny jest człowiek, jeśli jest człowiekiem”. Wszyscy posadzili o autorstwo tego hasła przewodniczącego Rady Zakładowej Zygmunta Pacholczyka. Zapytałam go o to.

— Ja tylko poleciłem je utrwalić. Myśleliśmy nad nim wszyscy. W rezultacie autorką została nasza była lekarka zakładowa.

Dziwne te Zakłady Rowerowe. Niełatwo tu się doszukać nazwisk poszczególnych bohaterów, tak przecież nieodłącznych w każdym reportażu.

— O, musiałbym pani podać chyba ze sto nazwisk — powiedział naczelny dyrektor Zakładów inż. Jerzy Gorzelak, kiedy zapytałam go, kto brał udział w konstruowaniu maszyn, które walczyły przyczyniły się do rozwoju fabryki.

Było to tak. Kierownictwo Zjednoczonych Zakładów Rowerowych w Poznaniu, wyrabiających piasty rowerowe, łańcuchy do motocykli i rowerów, oraz koła wolnobiegowe — postanowiło, coś 3 lata temu, podnieść wydajność produkcyjną fabryki. Tym bardziej że wyroby ZZR zaczęły się coraz bardziej podobać za granicą. Aby jednak zmienić stary — często jeszcze sprzed 30 lat — system produkcji, potrzeba było nowych maszyn. Wprawdzie mieli już kilka, sprawdzonych z zagranicy, ale było to o wiele za mało dla uruchomienia produkcji na zamierzonym poziomie. Podjęto więc ryzyko skonstruowania i wykonania potrzebnych automatów wysiłkiem własnym. Zespół inżynierów wykonał dokumentację konstrukcyjną, następnie wyłoniono najlepszych fachowców i w bazie remontowej zabrano się do wykonania projektów. Część pomogły wykonać zakłady wiodące — Zjednoczone Zakłady Rowerowe w Bydgoszczy — których poznańska fabryka jest kooperantem. Rezultaty są takie, że o ile trzy lata temu na operację przy wykonaniu 1 piasty potrzeba było 15 godzin, obecnie potrzeba 40 minut. Łańcuch — montowany dawniej ręcznie, pochłaniał 30 minut pracy — dziś 16.

Jednak sprawa wprowadzenia pełnej mechanizacji produkcji nie jest — okazuje się — tylko sprawą maszyn. Opowiada o tym ciekawie i sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR — Zygmunt Marcinkowski.

— Powiedzenie „przystawienie jest drugą naturą”, okazało się w naszej praktyce bardzo prawdziwe. Wiele usprawnień, wprowadzanych sukcesywnie do produkcji, przyjmowanych było przez naszych pracowników bardzo sceptycznie. Czasem wręcz niechętnie. Np. dziurkarki. Dawniej pod dziurkarkę wkładało się każdy element oddzielnie, przy czym nowa pracownica doznawała tam na początek mniejszego lub większego zmiażdżenia palca. Kiedy wprowadziliśmy podajnik zwiększający nie tylko tempo produkcji, ale i jej bezpieczeństwo, potrzeba było długich perswazji, aby przekonać kobiety do tego usprawnienia.

— A spróbujcie im teraz zaproponować powrót do starej metody — śmieje się Zygmunt Pacholczyk. — Z kobietami to jest tak: trudno je przekonać do nowego, ale skoro raz coś zaaprobują, to na amen. Już nie cofają.

Zygmunt Pacholczyk jest — jak się okazało — nie tylko wielkim znawcą kobiet (w Zakładach pracuje około 40 proc.), ale również dzieci. Jako długoletni działacz harcerski zna doskonale ich potrzeby. Dzięki staraniom Rady Zakładowej wszystkie dzieci pracowników fabryki wyjeżdżają co roku na kolonie letnie. Wymagało to sporo zachodu, ale się opłaciło. Dziś Zakłady posiadają na ten cel własny budynek w Wojtowicach, powiat Bystrzyca Kłodzka. Starsze dzieci, zorganizowane w drużynę harcerską — wyjeżdżają w łecia na oboz harcerski. Obecnie Rada Zakładowa myśli nad zorganizowaniem przedszkola, lub chociażby jakiejś jego namiastki w postaci świetlicy dziecięcej. Sporo kobiet dojeżdża bowiem na ulicę Serbską z odległych dzielnic miasta, a za-

**Głos
Tygodnia**
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO
Nr 118 Poznań, 19. I. 1964 Rok IV

wożenie po drodze dzieci do przedszkola, przeciąga niepotrzebnie czas dojazdu do pracy. W projekcie jest też stolówka zakładowa, przy czym w pierwszej fazie jej realizacji obiady będzie się dowoziło z najbliższej stolówki PSS-u. Do niedawna Rada Zakładowa miała też kłopoty z organizowaniem przewozu pracowników do pracy. Ten kłopot odpadł jednak nareszcie w dniu, kiedy na Wilczak ruszył tramwaj, w czym Zakłady partycypowały sumą 1 miliona złotych.

Kiedy po zwiedzeniu nowoczesnie wyposażonych i doskonale zorganizowanych hal fabrycznych zapytałam inż. Jerzego Gorzelaka, co będzie motorem dalszego rozwoju tak dobrze pracujących Zakładów, mających wyniki produkcyjne równające się wynikom przodujących krajów Europy — odpowiedział:

— Chce pani, widzę, usłyszeć o brakach naszej produkcji. Jest ich sporo. Kiedy w tych dniach przygotowaliśmy analizę pracy Zakładów w oparciu o wytyczne XIV Plenum KC partii — dla przedstawienia jej na Konferencji Samorządu Robotniczego — sprawy te unaocznily nam się jeszcze wyraźniej. Musimy jeszcze wciąż dążyć do zapewnienia pełnej ciągłości produkcji przez poprawienie stanu jej zaplecza. Ta sprawa nie wygląda jeszcze u nas idealnie. Jednym z powodów jest rozmieszczenie Zakładów, pracujących w trzech oddziałach. Tu — na Serbskiej, w Luboniu i na Wielkiej. Gdybyśmy chociaż mieli jeden centralny magazyn, trudności zmniejszyłyby się w dużej mierze.

To są tylko trudności, które mamy nadzieję przełamać. Zresztą nie jedynie to kłopoty np. przekroczyliśmy fundusz płac, dla opłacenia produkcji tych właśnie nieujętych w planie maszyn i automatów, które tak bardzo poprawiły tempo naszej pracy. A to jest ważne. Polska eksportuje do USA (nie licząc innych państw) 150 tysięcy rowerów rocznie, a zanosi się, że liczba ta wzrośnie, gdyż rower stał się tam modny, przepisują go lekarze amerykańscy na wszelkie dolegliwości.

Ciemno już było, kiedy opuszczałam fabrykę. Na nowej petli czekała na tramwaj grupa pracowników Zakładów.

— Podobało się pani u nas? — zapytał ktoś.

— Bardzo.

— To niech pani przyjdzie do nas, jak utworzą nową galwanizatornię. To będzie oddział. Na medal!

Piotr Życki

Spychotechnika

Skąd my ją znamy? Hm, nie szukamy zbyt daleko. Jej zaletki można znaleźć nawet w życiu rodzinnym, z czego na ogół nie zdajemy sobie sprawy. Ale o tym za chwilę.

Źródłem spychotechniki jest częstokroć lenistwo: nie teraz — później; byle nie dziś — jutro; Morgen, morgen, nur nicht heute — sagen alle faulen Leute... Rezultatem tego jest przewlekanie załatwiania spraw w czasie. Ten rodzaj spychotechniki nazwałbym spychotechniką prostą.

Spychotechnika złożona — rzadziej wypływa z lenistwa, częściej wiąże się z dążnością do przesunięcia brzoźnienia wysiłku — przy zachowaniu formalnie poprawnych wymogów — na cudze barki współpracowników, penentów, zwierzchników, podwładnych. Podłożem spychotechniki złożonej jest raczej niechęć do działania, związanego z ponoszeniem odpowiedzialności; lenistwo stanowi tu cechę towarzyszącą. W drodze analogii rzecz by można, że o ile spychotechnika prosta polega na rozlewaniu spraw w przestrzeni (czytaj: w rozma-

*) Jutro, jutro, tylko nie dziś — mówią leniwi ludzie (znane niemieckie przysłowie).

Zbigniew Szumowski

W ZIMOWY WIECZÓR

12 stycznia 1945 roku, kiedy nad Wisłą pod Sandomierzem ruszyła radziecka ofensywa wyzwolenia ku Odrze, w Poznaniu odbyła się właśnie odprawa 1200 funkcjonariuszy okupacyjnych z całego Warthegau. Mówcą na niej był sam zastępca Goebbelsa, sekretarz stanu w Ministerstwie propagandy Neumann. Oświadczając, iż front wschodni Niemiec hitlerowski nie był jeszcze nigdy tak silny jak teraz, zapowiadał wejście do akcji nowych armii i nowych, rewelacyjnych broni, Neumann zapewniał zebranych, że już na linii Wisły zadana zostanie radzieckim siłom zbrojnym ostateczna, druzgocąca klęska.

W tenże sam wieczór, poznańskiego popisu Neumanna, w krakowskiej kwaterze generała — pułkownika Harpe, mara — jącego dowodzącego obroną hitlerowską na Wiśle, panował już tragiczny nastrój. Choć od rana, kiedy to została przerwana wszelka łączność z zaatakowanym odcinkiem — brak było jakichkolwiek, a więc także hibernowych wieści o 4 armii pancernej — nie żywiono żadnych złudzeń. Przyjmowano jako fakt niezbity, że w całym dotychczasowym systemie obronnym wyrwana została olbrzymia, niemożliwa już do załatwienia i z godziny na godzinę powiększająca się dziura, że w lukę tę z całą pewnością wdzierały się teraz coraz to nowe oddziały marszałka Koniewa. Starano się tylko odgadnąć, w którym kierunku zostanie skierowane główne uderzenie. Poczieszano się przy tym, że może pomyślniejsze mimo wszystko następnego dnia warunki atmosferyczne, pozwolą ustalić coś przy pomocy zwiadu lotniczego. Zarazem bano się lepszej pogody. Oznaczałoby to pojawienie się nad płacem boju rojów samolotów radzieckich...

Rzeczywiście — w tym samym czasie — przez poranne pobojuwisko sunęły nie kończące się kolumny czołgów. Ze względu na niski pułap chmur śniegowych jechały bezkarnie z zapalonymi reflektorami. Tworzyły jak gdyby rozgwieżdżone coraz bardziej przenikające swymi świetlnymi ramionami rejon Kielc. Nastroje żołnierzy radzieckich były wysmienne. Jedynie lotnicy bazujący za Wisłą, kleli szpetnie. Prognoza meteorologiczna zapowiadała „polityczną pogodę”: nadająca się wyłącznie do prowadzenia zajęć politycznych...

Z tych samych względów, kawalkada samochodów wiozących grono wybranych gości z auli poznańskiej do rezydencji Greisera nad jeziorem Góreckim w okolicy Poznania, na przyjęcie wydane przez gauleitera dla uczczenia Neumanna, pędziła błyskając pełnią światła. Co prawda Neumann udaje się niechętnie do osławionej w kołach berlińskich Mariensee. Przeciwnicy Greisera bowiem — liczni zwłaszcza w otoczeniu szefa kancelarii NSDAP Bormanna, który poznańskiego gauleitera nienawidził już choćby dlatego, że jest człowiekiem Himmlera — przedstawiali wybudowanie podczas wojny nowego pałacu jako czyn karygodny. Sprawa oparła się swego czasu nawet o samego Hitlera. Ten jednak, urobiony odpowiednio przez Himmlera i zarazem polectany mile, że pałac posiada od strony ogrodu fasadę wzorowaną na motywach jego Reichskanzlei, zawyrokował: „Nacjonalsocjalistycz-

na Rzesza musi próbować jeszcze i w czasie wojny wycisnąć kulturalne piętno na wschodzie”. Dał tym samym niejako placet wielkopolskim zachciankom parweniusza ze Środy, który zanim wspiął się dzięki kontaktom z SS po szczeblach kariery dygnitarskiej, był szoferem „ponocniearyjskiej” taksówki w Gdańsku. Ale Neumann wolałby mimo wszystko nie narażać się Bormannowi, co — raz bardziej stającemu się szarą eminencją dworu niedołętniejącego, goniącego najwyraźniej resztką sił Fuehrera. Jedzie jednak do Mariensee (Jeziorki).

Tym bardziej docenia to Greiser. I jakby chcąc podsunąć gościowi

Ostatnie dni Warthegau (2)

argumenty obronne, tłumaczy mu, że przecież przy budowie tej skromnej jego zdaniem, zaledwie jednopiętrowej, „budowli wiejskiej”, wykorzystano tylko siłę roboczą przeznaczonych do likwidacji Żydów. Natomiast będąca solą w oku zastawionych mu ludzi, łącząca jego rezydencję z miastem, specjalna betonowa droga, którą właśnie jada, stanowi tylko fragment i tak planowanej, niezbędnej także ze względów strategicznych trasy objazdowej wokół Poznania.

Nastój jaki panuje od pierwszej chwili w parterowych, bynajmniej nie skromnych salonach pałacyku, jest najwyraźniej serdeczny, pogodny, nie zmażony jakimkolwiek zgrzytem. Jak gdyby wszyscy nagle zrzucili z serc gniotące ich troski i namiętności. Niewątpliwie poważna w tym zasługa Neumanna, który wprost promieniuje na otoczenie swym optymizmem. Jego wpływ szczególnie silnie uzewnętrzniał się w zachowaniu i nastroju gospodarza. Między innymi był baron kurlandzki Hagen, który od roku 1940 jest sasiadem Greisera, zauważa, iż gauleiter wyżył się dostrzeganiem w ostatnich czasach, choć starannie maskowanego, nastroju niepewności. I kiedy gospodarz wznosi kielich i daje znak ręką, że zamierza wygłosić toast, Hagen widzi w jego oku zapamiętany z lat pierwszych kontaktów, będących latami niezmąconych nicyzm sukcesów, błysk zadufania w szczęśliwą gwiazdę wybrańca losu.

„Nigdy — mówi Greiser — nie wątpiliśmy, że w końcu zwycięstwo przypadnie nam w udziale. Nigdy nie wątpiliśmy, w to, że bolszewie-

ki potop zostanie powstrzymany przed granicami Kraju Warty i że nastąpi jego druzgocąca klęska. Dlatego nikt nie opuścił Warthegau. Wszyscy wytrwali pełni niezłomnego zaufania w Wodza i w ostateczne zwycięstwo oraz wyczekując tej godziny rozstrzygającej walki. Gotowi są też, jeśli trzeba by, rzucić się jak spoista barykada ciał przeciwko bolszewizmowi, by ratować Niemcy i Europę przed barbarzyństwem Wschodu. Dziękujemy sekretarzowi stanu Neumannowi za to, iż raz jeszcze wszyscy mieszkańcy Warthegau otrzymali zapewnienie, że zgodnie z nieugiętą wolą Wodza, kraj ten nie zdepcze nawet jedna stopa bolszewicką. Dziękujemy mu za to, iż raz jeszcze uprzytomnił nam, jak bliskie jest końcowe zwycięstwo”.

Uczyniwszy krótką pauzę, wykrzykuje pełnym głosem: „Niech żyje Wódz; Niech żyje nasza Rzesza Wielkoniemiecka! Niech żyje godzina, w której ostatecznie starty w proch i rzucony na ziemię zostanie bolszewizm, my zaś już bez przeszkód będziemy mogli realizować i zrealizujemy nasze niemieckie posłannictwo na Wschodzie!”

Tak oto brzmiało ostatnie pogodne przemówienie gauleitera Greisera.

Wszystko wskazuje na to, że w tym samym czasie poprzez kanały łączności SS, docierały już do odpowiednich placówek kateryczne rozkazy możliwie najstarszanniejszej likwidacji wszystkich pomników greiserowskiego „posłannictwa na Wschodzie”. Wkrótce też miano zacząć likwidację ostatnich niedobitków z obozu masowej zagłady w Chełmie nad Nerem, przeprowadzić przy pomocy miotaczy płomieni likwidację wypełnionego do maksimum więźnia w Radogoszczu pod Łodzią, obozu koncentracyjnego w Żabikowie pod Poznaniem...

Greiser nie wiedząc o tym rozkazie, spał jeszcze tej nocy spokojnie. Tym bardziej zaskoczyły go wiadomości, których wysłuchał rano. Co prawda, spodziewano się jeszcze skutecznego przeciwdziałania rezerw będących w wyłącznym dyspozycji Hitlera. Ale już 14 stycznia, właśnie wówczas, kiedy dowództwo niemieckie koncentruje swą uwagę na szczególnie krytycznym dla niego rejonie Kielc, rusza jednocześnie z przyczółków puławskiego i magnuszewskiego — wywalczonych w sierpniu przy poważnym udziale 1 armii Ludowego Wojska Polskiego — natarcie sił 1 Frontu Białoruskiego. Efekt jest równie piorunujący jak pod Sandomierzem...

Najbardziej zaś doskwierają nam spychotechnicy z rozmaitych urzędów i instytucji.

Pół biedy, gdy któryś z urzędników schowa nasz wniosek do szuflady, by przypomnieć sobie o nim — zgodnie z regułami spychotechniki prostej — na przykład za miesiąc. Da się wytrzymać, jeśli stanie my oko w oko z zagranicą, które sklasyfikować trzeba by na pograniczu spychotechniki prostej i złożonej; gdy załatwiał nas — dołożywszy starań dla znalezienia punktu zaczepnego — informacja, że wniosek powinien mieć jeszcze jeden stempel, jeszcze jeden załącznik, czy jedna jeszcze kopia załącznika. Najdokładniej dają się we znaki

Jest spychotechnika metodą działania, mniej lub bardziej przemysłowo stosowana, oparta na spychaniu roboty, a najczęściej zarazem odpowiedzialności za nią — na barki innych. Jest więc spychotechnika ersatzowa, namiastka solidnej pracy. Stąd oczywiście szkodliwość spychotechniki.

Po pierwsze — wpływa ona na przewlekanie toku spraw;

po drugie — rodzi u formalistycznych, nieżyczliwie potraktowanych, odruchową niechęć do instytucji, którą spychotechnik reprezentuje;

po trzecie — praktykowanie spychotechniki w tym czy innym zakładzie pracy pociąga za sobą przeciążanie niektórych, co solidniejszych, pracowników, co z kolei nie może nie wpłynąć ujemnie na jakość załatwiania przez nich spraw;

po czwarte — prawem kaduka dochodzi do wymigiwania się przez grupę pracowników od odpowiedzialności, przy równoczesnym kumulowaniu decyzji w rękach mocno zaabsorbowanego grona aktywnych ludzi; wiedzie to nieraz do zmniejszenia treściwości rozstrzygnięć, że pominiemy już momenty szkodliwe zdrowotnie, związane z przeciążaniem pracą ustawicznie tych samych.

Skutecznego środka nikt jeszcze dolychczas na spychotechników nie wynalazł. Bo też chyba na żaden cudowny lek nie można tu liczyć. W grę wchodzi po prostu zwiększenie wymagań. Zwiększamy wymagania wobec siebie, zwiększamy wobec innych.

Plagi powszednie

działem pracy, specjalizacją (tak!). W gruncie rzeczy chodzi nieraz o zwalenie na „drugą połowę” (tę lepszą albo tę gorszą) szeregu mało atrakcyjnych obowiązków.

W życiu społecznym przysłowiom przejawem spychotechniki stało się niezmienne zawołanie kelnerów: — Kolega! — Sedno w tym, iż nie obracamy się przecie w kierunku kawiarnianego stolika. O wiele przykrejsze bywały spychotechniczne postęпки na przykład lekarza, który miał udzielić nam pomocy, nieraz stosuje unik w postaci skierowania do kolegi — specjalisty** po takie czy inne orzeczenie.

**) Nie mówię o uzasadnionych skierowaniach, których jest większość.

„NAGANIACZ”. Film produkcji polskiej. Scenariusz: Roman Bratny. Reżyseria: Ewa i Czesław Petelscy. Zdjęcia: Stefan Matyjaszkiewicz. Muzyka: Tadeusz Baird. Wykonawcy: Bronisław Pawlik (Michał), Maria Wachowiak (Węgierka), Wacław Kowalski (Tomasik), Ryszard Pietruski (Jaworek), Krystyna Borowicz (rotmistrzowa) i inni.

Tematyka okupacyjna wraca w naszej kinematografii corocznie w nowych dziełach. Każdy z długiej już serii filmów o tej tematyce odsłania nam bądź przypomina nowe obszary naszej narodowej tragedii. Jednakże obserwuje się równocześnie zmęczenie widza kinowego filmami o czasach okupacji. Filmy te szybko przemykają przez ekrany, co gorsza — przy pustawej widowni.

Zgadza się oczywiście, że musimy przypominać te ponure lata, choćby ze względu na młode pokolenie, które zna okupację jedynie z opowiadań lub lektury, a to przecież nie jest to samo co widzieć. Tylko czy nie za wiele tej tematyki? Czy dosyć wnikliwie dokonujemy wyboru tematów dla dzieł

Mieczysław Skąpski

Jeszcze raz okupacja

filmowych, które — przy wysokich walorach artystycznych — powinny być dziś przede wszystkim ilustracją do lekcji historii? Sądzę, że chyba byłoby nad czym podyskutować przy odpowiedzi na te pytania.

Tym, którzy jeszcze nie widzieli filmu, powiem w czym rzecz. Koniec woj-

FILM

ny się zbliża. W pewnym polskim majątku ziemskim Niemcy urządzają sobie ostatnie polowanie z nagonką. Przypadkiem natykają się na grupę węgierskich Żydów ukrywających się w polu, w słogach skrywa. I oto wraz z zającami zaczyna się zabijanie ludzi. Make-

bryczne polowanie z nagonką ludzi przeciw ludziom. Jednym z przymusowo naganiaczy jest bohater filmu, Michał, były uczestnik Powstania Warszawskiego, próbujący tam na wsi cicho przeżyć ostatnie dni wojny. Krótko przed polowaniem on właśnie, acz niechętnie, dokarmia ową grupę Żydów, on także ukrył ich w słogach. Teraz bezsilny patrzy na masaker. Uratuje się z niej tylko młoda Żydówka, która była łączniczką między nimi i wtedy właśnie przebywała u Michała. Będzie ona jednak przekonana, że to Michał wydał jej pobratymców, on zaś nie potrafi jej wyjaśnić, jak było naprawdę. Ona mówi bowiem tylko po węgiersku.

Film wart jest obejrzenia nie tylko ze względu na temat. Wielką rolę ma tu Pawlik, prawdziwy w każdej sytuacji, gdy się waha i decyduje, gdy odmawia pomocy Żydom i gdy ją daje, gdy opiera się wdziękowi rolniczej (właścicielki majątku) i gdy im ulega. Doskonale są zdjęcia Matyjaszkiewicza, zimowy pejzaż jakby przesyłający lekka mgiełka. Napięcie dramatyczne duże, prawidłowo narastające. A jednak film idzie przy pustawej widowni. O czymś to świadczy...

sądowi przekazujemy pewne materiały dodatkowe, jak plany obozu, fotografie, filmy dokumentalne.

— Jak Pan ocenia sens polityczny procesu oświęcimskiego?

— W przyszłym roku nastąpi w NRF przedawnienie przestępstw wojennych. Dlatego trzeba dołożyć maksimum starań, by w ciągu krótkiego już czasu wydobyć na światło jak najwięcej nieznanych jeszcze dowodów zbrodni hitlerowskich. Dodam, że przedawnienie nie obejmuje tych przestępstw, w stosunku do których wszczęto jakieśkolwiek kroki sądowe, wpisano do rejestru poszukiwanych zbrodniarzy itp. Wydaje mi się szczególnie istotne, by w tym właśnie roku zwiększyć wydatnie środki i obsadę personalną Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich celem zbadania wszystkich posiadanych i nieuporządkowanych jeszcze archiwaliów, i to dotyczących nie tylko zbrodni popełnionych wobec Polaków, i nie tylko w Oświęcimiu.

Rozmawiał:
IGNACY RUTKIEWICZ

Eugeniusz Pauksztą

O przeszłości współcześnie

Dziś właśnie o przeszłości — na różny sposób — o tej dawnej, nowszej, najnowszej...

Nakładem „Czytelnika” ukazała się powieść Franciszka Fenińskiego „Długie morze”, ambitnie, w ciekawym zamyśle konstrukcyjnym, próbująca ukazać początki polskiej myśli politycznej morskiej i zarazem odświeżyć zacienioną postacią Chrobrego sylwetkę Mieszka I. Autor posłużył się obrazem panoramycznym, zacieśniając chronologię do czterech dni w czterech kolejnych latach. Wielki, Wolinianie, tajemny świat Wikinów i na tym tle dalekowzroczna, mądra polityka władcy polskiego...

A teraz czas o tądnych kilka wieków późniejszy. Staraniem PIW-u ukazała się praca Stefana M. Kuczyńskiego „Rzeczywistość historyczna w „Krzyżakach” Henryka Sienkiewicza”. Po studiach Sanderla nad tem historycznym „Polopu”, otrzymujemy obecnie dokumentarną pracę o wartości historycznej sienkiewiczowskiego arcydzieła. Po bardzo ciekawym, wnik-

Julian Mikołajczak

Znak dnia

Można całkowicie rozumieć zdumienie Mirosława Żuławskiego (patrz świąteczna „Trybuna Ludu”), gdy w czasie swej wędrówki w poszukiwaniu szafki do łazienki natrafił na... PUNKT AKWIZYCYJNY USŁUG DRZEWNYCH. Nie był to, jak się okazuje, żaden wydział ministerialny, ani filia centrali handlowej, ale po prostu — warsztat przysługujący zamówienie na stolarke... Można też solidaryzować się z Żuławskim w jego zdenerwowaniu na widok takich dziwotłów naszego codziennego nazewnictwa, jak „przeplątwomierze paliw płynnych” czy „utrudniacze przepływowe” sztyklowo-butelkowe, co oznacza — w ludzkim, polskim języku — zwykłe pompy benzynowe i korki.

Bardzo mocno rozwinięty jest u nas pęd do „wydymiania” niektórych nazw, określenia prostych spraw i przedmiotów w sposób pompatyczny, o parę stopni wyżej, niż na to zasługują. Czasem zmienia się oczywiste zwroty i terminy na bardziej niecodzienne — dla samej zasady. Czasem zmiana ma podnieść autorytet i walor przedmiotu czy instytucji.

W stołowie ZNP w Warszawie wydaje się bony obiadowe, na których wydrukowana jest rubryka ZNAK DNIA. A nie oznacza ona niczego innego, jak naszą pocztówkę i od dawna zdomowioną w języku polskim... datę. Bardzo szanuję pracowników miejskiej komunikacji, ale mam im za złe, że zawieszają czasem na przedzie wozu napis: „POCIĄG obsługuje brygada ZMS”. Nigdy nie przypuszczałem, że ze śródmieścia na Jeżyce jedzie się pociągami, a nie jak kiedyś — tramwajem. To ostatnie słowo jest w ogóle skrupulatnie eliminowane z języka administracji MPK. Inny sztyld, tym razem wewnątrz wozu głosi: „Okno otwiera i zamyka obsługa POJAZDU”. Rozumiem, brzmi to może poważniej i bardziej pasuje do ery lotów kosmicznych, ale czyż nie lepiej na razie, moi drodzy, zamiast od nowoczesności w nazwie, zacząć od zwiększenia szybkości „lotu” po szynach?

Na święta gwiazdkowe jedna z latorośli mojego rodu, zbzikowana na punkcie motoryzacji, otrzymała w prezencie zabawkę — samochodzik na sprężynie. Każdy, dysponujący minimalną choćby ilością szarych komórek mózgowych, świadom jest faktu, że samochodzik ze sprężyną musi mieć coś, co tę sprężynę naciąga. Innego zdania był producent (Toruńskie Zakłady Przemysłu Terenowego) i dlatego na wszelki przypadek napisał na wieczku pudełka: „Samochodzik wyścigowy. Składa się z 2 części: 1 samochodzik i 1 klucz”. Na tym zresztą nie kończy się rola wytwórcy w szerzeniu wśród rzeszy odbiorców wiedzy technicznej. Zeby nie było żadnych wątpliwości, do czego służy zabawka, zwana samochodzikiem, dołączono „Instrukcję Sposobu uruchomienia i bawienia się zabawką Typu M-20”.

„Zabawkę mechaniczną imitującą „S a m o c h ó d wyścigowy” o napędzie sprężynowym uruchamia się w sposób następujący:

1. Uchwycić lewą ręką za korpus i tylne koła zabawki. 2. Wziąć w prawą rękę klucz i włożyć do otworu osi sprężynowej z boku obudowy (do oporu). 3. Nakręcić w prawą stronę do lekkiego oporu sprężyny i wyjąć klucz. 4. Postawić zabawkę na równej powierzchni i puścić.

Dobrze się stało, że taką instrukcję jednak dołączono. Bez niej mój 10-letni chłopak puszczałby samochodzik na sznurze jak latawcę, albo — czy ja wiem — kopnął z kolegami na szkolnym boisku! Po przestudiowaniu „sposobu bawienia się” tego rodzaju przykre pomyłki nie mogą się zdarzyć.

Kończąc te uwagi na temat postępów naszych rodaków w dziedzinie słowotwórstwa, pragnę zaznaczyć, że niniejszy felieton składa się z 3 części: tytułu, felietonu i podpisu. Instrukcję co do sposobu właściwego odczytania przesyłam na żądanie pocztą. Przepraszam — nie pocztą! Tak było dawniej. Dziś: za pośrednictwem właściwego Obwodowego Urzędu Poczto-Telekomunikacyjnego!

Frankfurcki proces SS-manów i Międzynarodowy Komitet Oświęcimski

W związku z toczącym się od kilku tygodni we Frankfurcie n. Menem (NRF) procesem SS-manów z załogi hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Oświęcim przedstawiciel Zachodniej Agencji Prasowej zwrócił się z prośbą o wypowiedź na ten temat do Sekretarza Generalnego Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, Tadeusza Hołuj, znanego literata i b. więźnia Oświęcimia.

— W czym upatruje Pan powód zainteresowania procesem?

— Jest to proces w pewnym sensie wyjątkowy. W ostatnich latach przed sądami NRF stawiały z reguły drobne plotki, wśród nich także i pojedynczy sprawcy z Oświęcimia. Teraz po raz pierwszy na ławie oskarżonych znalazła się liczna grupa funkcjonariuszy administracji, komendantury, służby lekarskiej, gestapo obozu oświęcimskiego. Formalnie — bo tak chce ustawodawstwo obowiązujące w Republice Federalnej — nie jest to proces zbiorowy, lecz seria procesów indywidualnych i to o morderstwo lub o pomoc w morderstwie. Niemniej stanowiska zajmowane przez oskarżonych dostarczają okazji do przedstawienia sądowi całego mechanizmu działania aparatu zagłady w Oświęcimiu.

— Czy Międzynarodowy Komitet Oświęcimski odegrał jakąś rolę w przygotowaniu, czy też dościsł do obecnego procesu?

— Nie tylko pewną, ale nawet bardzo ważną rolę. Międzynarodowy Komitet Oświęcimski skupia, jak wiadomo, krajowe organizacje byłych więźniów Oświęcimia z kilku państw. Zbieraniem materiałów dowodowych dla przyszłych procesów zajmował się Komitet oczywiście od lat. Pierwsze doniesienia wskazujące osoby zbrodniarzy, ich aktualne adresy i fałszywe nazwiska, pod którymi ukrywali się przez wiele lat, wpłynęły do zachodniemieckiej prokuratury właśnie od nas w 1958 roku. Zajmowaliśmy się również odnajdywaniem po całej Europie świadków, których następnie przesłuchiwała prokuratura we Frankfurcie, pośredniczyliśmy wreszcie w gromadzeniu dokumentacji, zwłaszcza posiadanej przez Muzeum w Oświęcimiu i Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w

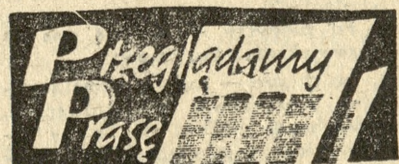
Polisce oraz archiwu analogicznej państwowej komisji radzieckiej.

— Należał Pan do grupy założycieli i następnie do międzynarodowego kierownictwa ruchu oporu w Oświęcimiu. Ta podziemna organizacja więźniów gromadziła już wówczas dokumentację zbrodni...

— Tak, prowadziliśmy tę działalność bardzo systematycznie. Już w 1941 roku, kiedy jeszcze obóz oświęcimski zaludniony był tylko przez Polaków, polskie grupy wojskowe i polityczne wysyłały już na zewnątrz pierwsze meldunki o sytuacji w obozie. Prowadziliśmy listę sprawców z nazwiskami i stanowiskami, przekazywaliśmy meldunki o poszczególnych akcjach zagłady, o wykonywanych egzekucjach. Nasze raporty otrzymywała skrzynka kontaktowa w Krakowie, stąd szły one dalej, m. in. do radia alianckiego. Muzeum w Oświęcimiu zachowało zresztą pewną liczbę oryginalnych meldunków. Ruch oporu organizował również ucieczki kurierów z obozu.

— Czy Komitet Oświęcimski uważa swoją rolę za zakończoną?

— Z pewnością nie, wkrótce bowiem rozpocznie się w NRF drugi proces oświęcimski, ponadto grupa zbrodniarzy z Oświęcimia stanie przed sądem w Austrii. Z naszej strony będziemy interesowali się dalej przebiegiem procesów przeciwko SS-manom, udzielając pomocy w miarę posiadanych możliwości i środków, które są zresztą bardzo skromne. Co do form pomocy wymienię publikacje takie, jak wydany w kilkunastu tomach album fotografii i dokumentów z obozu w Oświęcimiu, broszurę o tym obozie napisaną przez prof. dr. Jana Sehna, pełnomocnika naszego komitetu do ścigania zbrodniarzy z SS, wreszcie periodyk „Zeszyty Oświęcimskie”. Utrzymujemy ponadto kontakty z prasą światową. Samemu wreszcie



Coraz częściej na łamach czasopism goszczą socjologowie. Oto „Tygodnik Kulturalny” zamieszcza drugi z kolei felieton Jana Szczepańskiego z cyklu „Sociologia na co dzień” pt.

ZADOWOLENIE Z PRACY

„W Polsce jest pewna moda na niezadowolenie i okazywanie niezadowolenia — pisze autor. Ma to różne przyczyny. Czasami jest to zabieg obronny — po prostu udajemy niezadowolonych, żeby przed ludźmi nieczystymi ukryć powodzenie. Gdyż nie jesteśmy niestety społeczeństwem, w którym ludzie osiągnęli powodzenie w pracy, są otoczeni życzliwym uznaniem. Czy to jest jakiś taki fatalizm narodowy, na który nie ma już rady? Nic podobnego! Zależy to od nas, jako tych kilkudziesięciu milionów ludzi, tworzących nasze społeczeństwo i wzajemnymi stosunkami kształtujących warunki naszego życia.”

KULTURA NA WIELKICH BUDOWACH

Temu tematowi tygodnik „Kultura” poświęca rozmowę z doc. dr. Kazimierzem Żygulskim, zapowiadając jednocześnie kontynuowanie socjologicznego zwiadu po tej rozległej dziedzinie. Na wielkich budowach socjalizmu (przed laty Nowa Huta, dziś — Turoszów, Płock, Konin, Tarnobrzeg, Puławy) punktem wyjścia są zawsze sprawy ekonomiczne. Zadania gospodarcze do tego

stopnia górują w świadomości wielu ludzi, że zapomina się o podstawowej prawdzie: inwestycja przemysłowa to generalnie zadanie społeczne, w którym na równi z zadaniami ekonomicznymi muszą być przewidziane i rozwiązywane zadania społeczno-kulturalne. Mówiąc o różnych dziedzinach pracy kulturalnej (adaptacja pracowników do wymagań nowoczesnej produkcji, kształcenie jako pierwszy warunek sprawnej integracji do nowoczesnego przedsiębiorstwa), rozmówca „Kulturę” podkreśla:

„Winnimy w wielkich inwestycjach widzieć olbrzymie laboratoria społeczne, z których każde następne jest lepiej zorganizowane, lepiej spełnia swe funkcje, tak stałe, jak i przejściowe. Wznosząc nowy obiekt przemysłowy, nowe miasto, czy choćby osiedle, musimy mieć pełną świadomość, że ta, wprawdzie tylko określona akcja ekonomiczna, która skończy się tym, że większość zatrudnionych rozjedzie się w inne miejsce, ale która formuje ludzi — jest więc szkołą nie tylko ekonomiczną i zawodową, ale także szkołą życia w społeczeństwie.”

GOSPODARCZE DYLEMATY

Zbliża się wyzwanie demograficzne, a z powodu trudności gospodarczych państwo musiało ograniczyć możliwości zatrudnienia nowych pracowników. Temat ten podejmują Aleksander Pracyński w artykule „Pod znakiem wyżu” na łamach „Polityki”. Autor przedstawia wiele dyskusyjnych tez, z których podstawowa brzmi: jest nam potrzebna różnicowana polityka zatrudnienia.

Publicysta twierdzi, iż można prowadzić inwestycje szerokim frontem, ale pod warunkiem, że towarzyszy temu odpowiedni wzrost produkcji rynkowej. Każdy bowiem zatrudniony w grupie „B” (przemysł produkujący na potrzeby rynku), nie

tylko „zarabia na siebie”, ale ponadto zwiększa rynkową masę towarową, co w konsekwencji równoważy zwiększony fundusz płac w działach pozarynkowych. Ponadto autor zwraca uwagę, że zwiększenie naraz z jednakowym skutkiem oszczędzać się nie da. Dlatego trzeba zdecydować, iż np. oszczędność pracy (przez podniesienie wydajności drogą mechanizowania pracy), jest korzystna i potrzebna na wielkich budowach; ale tam, gdzie buduje się niewiele i tam, gdzie jest dostateczna liczba rąk do pracy, nie warto instalować drogich i skomplikowanych maszyn, które nie byłoby po prostu wykorzystywane.

POSTULATY HCP

Tygodnik Zakładów H. Cegielski „Nasza Trybuna” zamieszcza pierwszą część wywiadu z dyrektorem naczelnym HCP Władysławem Kosłujem na tematy związane z niedawną naradą aktywno-partijną-gospodarczego przemysłu maszynowego. Mówiąc o fegorocznych zadaniach HCP (wykonanie 4 dalszych prototypów silników okrętowych, prototypu 2 typów automatów tokarskich i 2 typów-wielkości sprężarek powietrza rozruchowego, uruchomienie produkcji seryjnej kilku maszyn), dyr. Kosłuj ponawia postulat, by nadać producentom wyrobów finalnych prawo do przekazywania zadań w zakresie postępu technicznego fabrykom — poddostawcom różnych części urządzeń wchodzących w skład ostatecznych produktów; należałoby również uprzywilejować dostawcy materiałów, służących do budowy prototypów.

DWA RAZY O PROWINCJI

Leszek Goliński na łamach „Tygodnika Demokratycznego” (artykuł „Dlaczego dla ubogich!”) stwierdza, że w małych miastach za najlepszą

rozrywkę po pracy uznaje się kino, (spośród 1500 osób dziesięciu miast powiatowych odpowiedziało tak blisko 63 procent mężczyzn i 73 procent kobiet). W związku z tym autor protestuje przeciwko traktowaniu kin w miasteczkach jako obiektów podrzędnej kategorii oraz przeciwko kierowaniu do tych kin filmów starych.

Problemy prowincji podejmuje też poznański literat Leszek Prokocimski na łamach „Współczesności” (artykuł „Średniowiejskie pozy”). W obszer- nym szkicu autor omawia cztery — jego zdaniem — podstawowe sfery stosunków, najpełniej uroczysławiających szanse wyrównawcze dla prowincji: stosunki komunikacyjne, opiekę zdrowotną, stosunki oświatowe oraz kulturalne.

CHULIGANOM NIE BĘDZIE LEPIEJ

„Sporo chuliganów siedzi w aresztach i odbywa karę w więzieniach, inni — widząc, że to nie przelewi — uspokoił się. Być może, niektórzy z nich myślą sobie: „były przeżyć ten najgorszy okres, później znowu będzie lepiej”. Otóż chcę ostrzec: chuliganom nigdy nie będzie lepiej! Nie damy im spokoju! Chuliganstwa tolerować nie będziemy!”

To fragment z wywiadu, którego udzielił tygodnikowi „Walka Młodych” Prokurator Generalny PRL Kazimierz Koszlik, który poinformował jednocześnie, że zastrzyżony został w stosunku do chuliganów reżim więzienny (każdy musi pracować, nie mogą oglądać telewizji i filmów, ograniczone możliwości otrzymywania paczek, węższe wstawianie, zastrzyżone sankcje dyscyplinarne).

LEKTOR